NR. 3 NIEDZIELA 15, LUTEGO 1931 R. ROK VI

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci

Matka

Od kolebki ślęczy nad dzieciną,
Sama karmi, gotuje i pierze.
Łzy bolesne nieraz z oczu płyną —
Własne zdrowie składa jej w ofierze.

A gdy dziecko w ławce szkolnej staje,
Matka troszczy się, przymiera z głodu,
Grosz ostatni na książkę wydaje,
Żeby rosło na chlubę narodu

Radość dziecka, łzy, krzywdę rozumie
I odczuwa miłością matczyną.
Dziecko czasem okazać nie umie,
Ale kocha Mamusię jedyną.

A choć nieraz pustota je znęci
I pogniewa się matka stroskana —
W sercu dziecka i w jego pamięci
Żyje zawsze — Mamusia kochana.

M. O.

Kasztany

Wybrały się dzieci z jednego podwórka po kasztany do parku. Spodziewały się nazbierać ich dużo, więc Ignaś wziął ze sobą koszyk, z którym mama chodziła po zakupy do miasta; Oleś dwie duże papierowe torby; Hela czerwoną chusteczkę, którą na kolonjach letnich nosiła na głowie; Sabinka, nie mając nic lepszego pod ręką, pochwyciła fartuch mamy w białe i niebieskie paski, a mały Lutek niósł pod pachą stary filcowy kapelusz ojca.

Do parku było niedaleko, więc cała gromada szybko się tam znalazła.

Dzień był wyjątkowo pogodny i dość ciepły. Słonko widocznie z żalem żegnało się z ziemią, gdyż rzucało na nią ciepłe jeszcze snopy swych złotych promieni.

Na alejach parku pełno było różnobarwnych zwiędłych liści. Wiatr igrał z niemi i rozrzucał je na wszystkie strony z dużych stosów, które namietli dozorcy.

Dzieci rozbiegły się po dróżkach i alejach ogrodu. Pochylone, rozgarniały liście, szukając dużych bronzowych kasztanów.



Wkrótce też nazbierały ich mnóstwo. Sabinka tak była zajęta zbieraniem, że wcale nie zauważyła, że beret zsunął jej się z głowy, więc gdy się spostrzegła, zbierało jej się na płacz ze zmartwienia. Na szczęście Oleś znalazł w trawie zgubę i oddał ją właścicielce.

Zbiór był doskonały... Nawet z Lutkowego kapelusza wysypywały się kasztany.

Zmęczone dzieci usiadły na chwilę na ławce i oczami oceniają swoje skarby. Najwięcej kasztanów ma Ignaś, bo i koszyk pełniuteńki i jeszcze w chusteczkę do nosa musiał związać co się do koszyka nie mieściło.

Cieszą się dzieci z udanej wyprawy, bo przecież wiadomo ile to pięknych rzeczy można zrobić z kasztanów. Gdy nadejną jesienne słoty i długie zimowe wieczony dzieciarnia godziny całe bawi się niemi. Można nawlec je na sznurek i zrobić piękne korale; kto zręczniejszy wyrznie małe okrągłe koszyczki, a Ignaś zeszłej ziny robił z kasztanów maleńkie wagi, które bardzo się przydały podczas zabawy w sklepik.

Gawędzą dzieci i ani się spostrzegły, że czas już wracać do domu. Zbierają się więc trochę markotne, gdyż żal im ostatnich pięknych dni.

Rozmowna zwykle i żywa Hela zasępiła się nagle. Przypomniała sobie bowiem swą sąsiadkę Broncię, mieszkającą na tych samych schodach. Broncia chorowała na tyfus, przez kilka tygodni była w szpitalu, a teraz prawie cały dzień leży i taka jest blada i mizerna. Więc Heli przykro się zrobiło, że Broncia nie będzie mogła wyjść z domu i uzbierać sobie kasztanów.

— Możeby dać jej trochę? — myśli dziewczynka i głośno mówi:

— Musimy część naszych kasztanów zanieść Bronci, napewno zrobi jej to wielką przyjemność, przecież ona sama sobie nie nazbiera, bo nawet na podwórko wyjść jeszcze nie może i niewiadomo kiedy zacznie wychodzić.

— Dobrze, dobrze, — zgodziły się jednomyślnie dzieci i zaraz każde odsypało na ławkę trochę ze swego zbioru. Tylko Lutek, że jeszcze taki był mały namyślał się chwilę i z żalem dorzucił kilka kasztanów ze swego kapelusza.

Pomysłowa Sabinka zdjęła z siebie sweterek, który miała pod płaszczykiem i zawinęła w niego przeznaczone dla Bronci kasztany.

Zadowolone dzieci żwawo pobiegły do domu i z dumą pokazywały rodzicom zrobione na zimę zapasy kasztanów. Najwięcej jednak cieszyła się Broncia i, przesypując wychudłemi rączkami brunatne kasztany, uśmiechała się radośnie, myśląc o życzliwości swych małych przyjaciół.



O chorym kotku i dobrym Tadziu

Pewnego dnia do pokoju Tadzia wszedł Burasek na trzech nóżkach, czwartą miał podkuloną i schowaną pod siebie.

Zauważył to chłopczyk i zmartwił się okropnie: jego też kiedyś bolała nóżka, wiedział, jak niewygodnie mu było wtedy chodzić, więc postanowił zaradzić nieszczęściu Burasa.



Ubrał się w palto, wziął kota na ręce i pobiegł do sąsiedniej kamienicy, gdzie mieszkał znajomy doktór. Lekarz, widząc Tadzia, zasapanego, zmęczonego, z wielkiem kociskiem na ramieniu, zdziwił się i zaniepokojony, spytał:

— Czy kto u was w domu zachorował?

— Nie, panie doktorze, tylko ten kot...

— Cóż ten kot?

— No — chory i prosiłbym o wyleczenie mu łapki — mówił Tadzio.

Doktód obejrzał starannie łapkę kota i wyjął z niej kawałek drzazgi, poczem zajodynował Burasowi nóżkę.

Uszczęśliwiony Tadzio wrócił do domu, a po upływie paru godzin kotek chodził znowu na wszystkich czterech nóżkach. Do Tadzia czuł wielką sympatję; wskakiwał mu na kolana, chciał dzielić się z nim mlekiem, zaczepiał go łapką, to znowu ocierał się o buzię chłopczyka. Jeżeli ktoś starszy gniewał się na kota, Buras gniew lekceważył, chroniąc się pod opiekę Tadzia, uważał bowiem, że chłopiec jest jego opiekunem: od chwili, gdy wyleczył mu chorą łapkę.

Zawsze wszystkie zwierzęta kochają dobre dzieci i nawzajem dobre dzieci kochają zwierzęta; nieprawdaż?

Ewa Etavi.

Z powodu przepuszczenia części tekstu w poprzedniem numerze „Przyjaciela Dzieci" podajemy obecnie całość wiersza p. t.:

Przydrożna chatka

Daleko za miastem tuż w pobliżu lasu
Stała mała chatka od dawnego czasu —
W chatce staruszeczek chory i zgrzybiały
Siedzi przy okienku — modli się dzień cały.
I staruszka siwa, mała i zgarbiona,
Krząta się po chatce — wierna jego żona.
Gdy zimą śnieżyca szalała na dworze,
Wiatr jęczał i płakał w gęstym ciemnym borze,
W mróz i w wichurę — podczas ciemnej nocy
Zbłąkany przechodzień tu szukał pomocy.
Otworzono chatkę, wpuszczono przechodnia,
Ułożono do snu — spał mocno aż do dnia —
Staruszka przechodniowi swe łóżko oddała
Sama na podłodze w kąciku drzemała.
Zrana ugościła kartofelkiem z wodą,
Słowa z serc płynące były mu osłodą.

Bieda panowała u staruszków wielka —
Ani kaszy, soli ni mąki, węgielka,
Ani świeczki nawet w ciemną noc nie było,
Tak się staruszeczkom bardzo ciężko żyło.
Więc staruszka biedna mocno się kłopocze,
Łzami wciąż zalewa swoje stare oczy.
A nakarmić przecież chorego potrzeba,
Może więc pożyczy u sąsiada chleba.
Mróz na dworze wielki, śnieg i zawierucha,
Jednak idzie w drogę, z zimna w ręce chucha.
Śnieg po pas się ściele, ledwie wlecze nogi,
Ledwie uszła mały kawałeczek drogi
Przystanęła nagle — przestraszona srodze —
To błyszczące oczy patrzą w nią przy drodze
Na bielutkim śniegu zarzą się jaskrawie,
Jak węgielki złote — jak złociste pawie.
W oczach jej się mieni — nagła błyskawica,
Znów okrągłe oczy blask silny oświeca.
Zmówiła modlitwę i się przeżegnała —
Po pas w śniegu stoi zgarbiona i mała.
Otworzyła oczy i nagle spostrzega
To złote monety tuż leżą u brzega.

Już nie poszła stara po chleb do sąsiada —
Wszak złote monety już sama posiada.
I po dziś dzień jeszcze od onego czasu
Kto biedny — ciągnie do chatki u lasu.

Helena Dawidow.

REGINA PUDANÓWNA.

Pamiętnik lisa



„Ach jaki cudny jest świat!" pomyślałem, gdy pierwszy raz wylazłem na powierzchnię ziemi z naszej dusznej nory. Lecz niedługo cieszyłem się nim, choć narazie używałem swobody.

Było nas troje rodzeństwa. Miałem trzy siostrzyczki i jednego brata. Siostrzyczki moje nazywały się: Zajęcza-nóżka, Cichołazka, i Chytraska. Mój braciszek nazywał się Ostry-ząbek, ja zaś Kogucie-piórko. Bardzo lubiłem moje rodzeństwo, a oni mię poważali dlatego, że byłem najchytrzejszy, najzgrabniejszy i najładniejszy, jak mówiła nasza mama.

Wychodziliśmy na krótki spacer, a ponieważ nas oczka bolały od światła, i kryliśmy się w największym cieniu.

Rodzice moi dogadzali nam we wszystkiem. Mieliśmy zawsze na obiad zająca lub kurę i było nam bardzo dobrze. Podczas nieobecności rodziców figlowaliśmy w naszej norze, lub też kładliśmy się obok siebie i opowiadaliśmy sobie bajki. Gdy tatuś i mamusia wracali, zawsze szczekaniem dawali znać o sobie, a my z wielką radością wybiegaliśmy na ich spotkanie. Było przytem tyle hałasu i pisku, że aż zaniepokojeni rodzice, by ktoś nie usłyszał, upominali nas.

Aż pewnego razu stało się wielkie nieszczęście. Otóż okazało się, że rodzice mieli rację, nie pozwalając hałasować, bo wykryli nas, jak się później dowiedziałem, ludzie.

Pewnego dnia, gdy nasi rodzice wyszli jak zawsze po zdobycz, posłyszeliśmy nieznane odgłosy, więc przytuliliśmy się do siebie i cicho siedzieliśmy. Wtem, tuż nad nami jakieś stuknięcie!... Oślepiło nas światło słoneczne. Mimowoli zmrużyłem oczy. Za chwilę poczułem, że mię ktoś unosi; spojrzałem i przestraszyłem się; byto coś nieznanego mi, jakaś kula, na niej liść siedział, tylko nie taki, jak u nas w lesie; pod nim dwie gałki. Domyśliłem się, że są to oczy, potem coś takiego wystającego jak góra, a pod nim wąsy i znów nie takie jak moje, o wiele brzydsze; moje lśnią na słońcu, te jakieś matowe, szorstkie i krótkie, pod temi wąsami było coś koloru czerwonego, co się rozchylało i zamykało; z tego otworu coraz wylatywały jakieś wyrazy i dźwięki które raniły moje uszy, przyzwyczajone do ciszy leśnej. Po-

stanowiłem bronić siebie i swoje rodzeństwo, a więc, nie namyślając się długo, zatopiłem moje ostre pazurki i ząbki w ciele nieznanego napastnika. Syknął z bólu, ale nie puścił, tylko prędko wrzucił do worka. Podobny los spotkał pewnie mego brata i siostrzyczki? Człowiek niósł mię długo przytem trząsł mną niemiłosiernie. Starałem się uwolnić — przeto szamotałem się, gryzłem worek, aż wreszcie zacząłem podskakiwać, by tym sposobem wyrwać torbę z rąk chłopa. Ponieważ to nic nie pomogło, a jeszcze więcej rozdrażniło człowieka uspokoiłem się.

Po pewnym czasie zaniósł mię chłop do takiego lasu, gdzie mieszkają ludzie i wkrótce znalazłem się w norze ludzkiej. Ach, jakież ich nory są inne! Nasze są pod, a ich nad ziemią. U nas są małe pokoiki, zaś u nich ogromne.

Gdy chłop odkrył worek, obstąpiło mię wielu ludzi dużych i małych; głośno krzyczeli i starali się mię dotknąć, ale ja nie pozwoliłem na to i postanowiłem kąsać każdego, ktoby się odważył to uczynić. Ukryłem się w kąt, stuliłem uszy i zacząłem warczeć.

Narazie, gdy już wszyscy nakrzyczeli się, podszedł do mnie jeden z nich i wziął na ręce tak, że w żaden sposób nie mogłem go ukąsić. Potem zawiązano mi sznur na szyję, wsadzono do skrzyni, dano wody w blaszance i mięsa, zrobiono w górze siatkę, tak żebym nie mógł wyskoczyć.

Codzień dawał mi jeść jakiś stary człowiek. Nie wiem dlaczego bez wąsów, później domyśliłem się, że to tylko u zwierząt mamusie i tatusie mają wąsy. Codzień też przychodził odwiedzać mię ten człowiek z wąsami, który wsadził mię do skrzyni.

Najpierw chciałem zamorzyć się głodem i zdechnąć, ale później pomyślałem, że uda mi się drapnąć.

Po kilku dniach poznałem mowę ludzką i rozumiałem ją prawie zupełnie; ale ludzie mię wcale nie rozumieli. Zacząłem trochę oswajać się, co tych dwoje ludzi bardzo cieszyło. Znałem ich już dobrze: ten człowiek bez wąsów był bardzo łagodny i dogadzał mi we wszystkiem, nazywał się Babcią, ten drugi człowiek, przeciwnie, był surowy i nie pozwalał mi grymasić i złościć się, a nazywał się Tatusiem.

Duszno mi było w tym chlewku, oni zaś nie domyślili się, by mię wynieść. Pewnego dnia bardzo wcześnie przyszedł do mnie jeszcze jeden człowiek, ale takiego przedtem nigdy nie widziałem. Był niższy od Tatusia, prawie że biały i miał przy głowie dwa ogony takiej długości jak mój.

Mnie to bardzo rozśmieszyło, gdyż u mnie ogon jest przy tylnych nogach, a u niej przy głowie.



Tatuś nazywał ją „Renia".

Nazajutrz pierwszy raz wyniesiono mię na dziedziniec. Byłem jeszcze bardzo nieoswojony i wszystko mię drażniło. Zdjęto siatkę ze skrzynki, chcąc mię wyprowadzić, lecz ja w żaden sposób nie dałem się. Później jednak wyciągnęli mię. Starałem się wyrwać i uciec, ale gdzie tam, — dali mi klapsa i musiałem się położyć. Od tego czasu codzień wynoszono mię. Powoli przyzwyczajałem się, jednak myśl o domu i rodzinie nie opuszczała mię. Nocami, gdy wszyscy spali, szczekałem w nadziei, że mię tatuś lub mamusia usłyszą i przyjdą z pomocą.

Widząc, że nic z tego nie będzie, że nie będę mógł uciec podczas spaceru, postanowiłem w jakikolwiek sposób uwolnić się od sznura, a wtedy ze skrzynką i siatką w kilka minut robota byłaby skończona, A Babcia na to: „Trzeba poprosić Tatusia, by dał nowy". Aha myślę sobie, niema głupich; ja umiem cenić wolność i od tego czasu naumyślnie wylewałem wodę i moczyłem sznur.

Jak tu duszno, a ja od kilku dni siedzę w skrzyni. Dopiero dziś Renia zlitowała się nade mną i wyniosła na dziedziniec. Jak zawsze, chciała mię wyprowadzić, ale ja ociągałem się, sam nie wiem dlaczego. Wreszcie wyszedłem i odrazu, przypomniawszy sobie, co mówiła Renia, zacząłem się szarpać. Rzeczywiście sznur pękł, ja rzuciłem się do bramki za mną dwie dziewczynki; wyskoczyłem na drogę i pomknąłem jak strzała, kierując się węchem, w stronę lasu; za mną pędziła cała gromada ludzi. Wreszcie wpadłem w kartoflisko; tu byłem pewny, że za mną nikt już gonić nie będzie i że spokojnie dobiegnę do



więc gryzłem go, ale to nic nie pomagało, gdyż w środku był drut, o który tępiły się moje ząbki. Cóż było robić? Myślałem nad tem jakiś czas i nic z tego. Aż przyszła mi do pomocy Babcia i Renia.

Otóż, pewnego razu, jak codziennie, przyszły mię odwiedzić. Renia zauważyła, że mój sznur był mokry, więc powiedziała do Babci, że jeżeli sznur będzie mókł to zardzewieje i przerwie się, a lis ucieknie. lasu. Ale gdzie tam. Ludzie widocznie za pomocą jakiegoś pioruna już się dowiedzieli, gdzie jestem, bo i tu, ledwo wyskoczyłem na drogę, już za mną wszyscy popędzili, jeden chłopiec schwycił mię za ogon. Dalej biec nie mogłem, więc postawiłem zemścić się, zacząłem go gryźć i szarpać, jednak bez skutku i poraz wtóry musiałem podziwiać cierpliwość ludzką.

(Dalszy c. n.).